

# BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

3

Bem porwał za pałasz i ciął nim raz i drugi po kadłubie, po łbie kudłatym. Krew trysnęła. Kadłub wreszcie uległ i targnięty przez podpułkownika runął obok wyszczerzonego trupa baby.

Bem pochylał się nad dziewczęciem i podźwignął je. Czarne oczy dziewczęcia mgłą zasłzyły, małe jego rączki opłotyły szyję podpułkownika, drobne, wiotkie ciało stężało.

Podpułkownik stał przez chwilę bezradny, jakby zawstydzony a może zdumiony lekkością dźwiganego ciężaru. Gdzież bo, toć unosił ją, w ramionach trzymał a nie czuł.

— Dziecina taka, złotowłosa, kilkunastolatek zaledwie... Dziw, skąd się w tem piekle wzięła!... Unurzane biedactwo, może ranne... Już cię tak nie zostawię... A grzeje maleństwo...

Kula armatnia zaryła się w pobliżu. Bem bąknął coś pod nosem i ruszył do baterii.

Tu zjawienie się podpułkownika z dziewczęciem na ręku wywołało poruszenie. Bem atoli nie zważając na nie, zawołał na najbliższych żołnierzy i kazał im w rozbitym wozie markietana wody poszukać a sam dziewczę na murawie ułożył i wódką z mianierki własnej ją trzeźwić. Wysłani żołnierze, a między nimi Surmacki, doskonale się sprawili, bo nie tylko bańkę z wodą przynieśli, ale i baryłkę okowity. Podpułkownik tej ostatniej, jakby nie zauważył, pochłonięty dalej energicznijszym jeszcze rzeźwieniem dziewczęcia.

Dopiero kiedy zemdlona, omyta nieco ze krwi, opatrzona na podrapanych i pokaszanych rękach i ramionach otworzyła powieki a obrzuciła Bema gorącym spojrzeniem swych wielkich, czarnych oczu, podpułkownika zawstydzenie zdjęło, tem większe, iż czuł na sobie zezujący ciekawie wzrok kapitana Orlikowskiego.

Ten ostatni w lot chwycił sposobność zerwania z subordynacją.

— Wcale nieszpetyny dzieciak.

Bem sponsował.

— He? Co? Proszę na miejsca!

Kto przy ostatnim jaszczyku? Prószyński!... Zabierz pan tymczasem i bacz... honorowi twemu polecam... Może trafi się podwoda, trzebaby wyprowadzić ją do Warszawy, do Pułtusk bodaj...

Prószyński zaprowadził dziewczętko na ogon baterii i tam, usadowiwszy ją na pudle wózka amunicyjnego, podoficerowi staremu Mateuszowi ją zlecił.

Podpułkownik zaś, już reszty niewczesnego roztkliwienia wyżywszy, dosiadł wierzchowca. A czas był największy, bo nim Bem zdołał artylerzystów do ładu napędzić, porucznik Jabłonowski zarył przed nim pianą okrytego konia.

— Pogrom, podpułkowniku, nasi cofają się, nachodzą... bateria Turskiego wzięta... chmary nieprzyjaciela są tuż...

— Rozkaz! Masz rozkaz?!

— Żadnego rozkazu... niema sztabu, niema wódza!... Legli!... Klęska! Przegrana!

— Milcz! — rozkazał gwałtownie Bem — ani słowa więcej!

Zaczem ryknął zajadle:

— Baczność!... Nasza pora! Zbieraj cugle. Za mną, naprzód — ...arsz!

Podpułkownik spiał konia ostrogami. Bateria zawahała się, zadzwoniła żelazem, zgrzytnęła, natężyła szleje i runęła za Bemem w odmet bitewny...

## II.

Słońce zaszło a z niem ostatni błysk nadziei dla Skrzyneckiego, nadziei, której treścią było już nie zwycięstwo feldmarszałka Dybicza, nie wygranie ostrołęckiej bitwy, lecz zgotowanie mu oporu, lecz wy-

parcie go za Narew, lecz ocalenie szczątków wojska polskiego przed śmiertelnym pościgiem.

Złamana, podarta na strzępy dywizya Langermana jeszcze próbowała stawić opór, jeszcze usiłowała godzinę klęski opóźnić. Daremnie. Piechota rosyjska pod osłoną morderczego ognia baterii nadbrzeżnych, opanowała już część nasypu pułtuskiego, już łańcuchem tyralyerów szła, już czyniła miejsce dla gotującej się do przejścia Narwi, kawalerii. Armaty polskie milkły. Tu i ówdzie sprawione pospiesznie oddziały ułanów i strzelców konnych zrywały się do szarży, lecz podarte, skłębione nieubłaganym miotem kul, ustawały w pół drogi, pierzchały w nieładzie. Tu i ówdzie, zagrzana gorącym wezwaniem, kompania wołyżerów lub grenadyerów rzuciła się na oślep z pochylonymi bagnietami, na batalion, na pułk, na dywizję, na zdziśiatkowanie, na śmierć niechybną. Były to już konwulsye. Bitwa dosięgnęła kresu, którego nie mogło uchylić ani męstwo, ani poświęcenie, ani szalona brawura oficerów, ani zapal żołnierzy.

Niebo ciemniało. Krwawa łuna pożarów, niszczą-



Skrzynecki wpił lunetę w mroki wieczorne...

cych Ostrołękę, rozpalala się. Baterie łyskały już ognistymi żądłami.

Skrzynecki trwał na czele resztek ósmego pułku. On jeden nie stracił przytomności, a raczej on jeden w obliczu pogromu, ją odzyskał. Zimny a czujny, przykładem odwagi świecący, on jeden ogarniał rozpacz położenia, on jeden nie załamywał rąk. Teraz dopiero miał Skrzynecki, co moment, dla otaczającej go garści wycieńczonego wojska znakomity ruch, miał co moment i rozkaz genialny i słowo krzepkie i moc wodza nad wodzami. I gdyby mu był Giełgud przyprowadził swoją dywizję, gdyby los dał Skrzyneckiemu jedną brygadę, jeden pułk świeży, wypoczętej rezerwy — cha, toby z nim cudu dokazał...

Ale i Skrzynecki nie mógł naprawić błędów naczelnego wodza... ale i Skrzynecki nie zdołał być uchylić klęski, która poczęła się nie z rozprawy pod Ostrołęką, jeno z całego pasma nieopatrznych, gnuśnych rządów, z lekkomyślnego prowadzenia sławnej wyprawy na gwardye.

Skrzynecki trwał atoli na stanowisku, trwał, a może kuli szukał, a może okupienia win popełnionych.

Tymczasem ogień karabinowy tyralyerów rosyjskich ustał raptownie a i baterie z rzadka odzywać się zaczęły.

Skrzynecki wpił lunetę w mroki wieczorne i o-detchnął.

Czarne pasma piechoty rosyjskiej zwierzały się, kupiły przed mostem. Tarabany ciche, miarowy wybijały takt na zbór, na ład... Więc Dybicz do zaniechania bitwy się gotuje, nareszcie! Teraz jeszcze kilka strzałów pożegnalnych i noc, noc cała wytchnienia, noc cała na zebranie sił, na dobyte się z piekielnego zamętu, na cofnięcie się z honorem.

I Skrzynecki już rozkazy wydał, jak wołyżerowie strzelców pieszych mają w pojedynkę rozsy-pać się półkolem, wyczekać chwili, gdy ostatni batalion na most wejdzie i jak mają wziąć go na krzyżowy ogień, a jak kompania saperów do przyczulka mostowego ma się zakraść i minę prochową założyć, podpalić go; jak znów inna kompania saperów most drugi, zniszczony prawie, do reszty zatopi.

Echa tych rozkazów już i o zaciągnięcie wedet nad Narwią jeły się troszczyć i o pogrzebanie poległych i o podwody dla rannych i ofuraże i o wyznaczenie obozowiska.

W zmordowane, wyczerpane, potem i krwią oblane niedobitki wojska polskiego otucha wstąpiła. Żołnierz opuszczał do nogi karabin, rozpaloną lufę na przedramieniu zapierał i chłodził spieczoną usta wilgotną ziemią.

Skrzynecki czuwał z okiem zapartem na poruszających się leniwie czworobokach piechoty rosyjskiej, czuwał i czekał.

Naraz ponad trawionemi pożogą domostwami Ostrołęki snop isker trysnął w niebiosa a za niemi legion płomiennych języków ślizgnął się ku górze i buchnął czerwonym światłem. Wieża ostrołęckiego kościoła stanęła w ogniu.

Wódz naczelnny, oślepiiony blaskiem, który zalał oba brzegi Narwi, zmrużył na mgnienie powieki, gdy je rozwarł, już sto armat ryknęło, już chmura ołowiu i żelaza dosięgnęła rojących o spoczynku żołnierzy Skrzyneckiego.

Piechota rosyjska równocześnie drgnęła i jeła następować pełnym frontem.

Skrzyneckiemu krew uderzyła do głowy. Chciał głosu dobyć, zawołać na oficerów, na żołnierzy, by za krze, za poszycie zagajnika się cofali — nie mógł. A czarne czworoboki szły nieubłagane miarowym krokiem ku polanom, wyżerany przez armaty, ku ostatniej pozycji naczelnego wodza.

Od strony zagajnika kilkanaście bębnow zadudniło żałośnie. Jakaś, zasobniejsza w amunicję, kompania usiłowała nierównym trzaskaniem kilkudziesięciu karabinów dotrzymać placu gromom działowym. Tuż w pobliżu Skrzyneckiego rozległ się młody, hardy okrzyk: „Naprzód, za mną!” lecz nim przebrzmiał, nim dosięgnął tych, których wołał, już zmieszał się ze złamami granatu i z pyłem wypłyniętej ziemi. Zresztą niemoc okrutna o-władnęła obrońców prawego brzegu Narwi. Wyrok nieubłagany zapadł. Żaden rozkaz, żaden ruch nie oddali-

go. nie osłabi, nie umniejszy. Czy tu, czy o tysiąc kroków dalej lub bliżej, jeden los, jedna śmierć, jedna mogiła.

Wtem, od lewej strony pozycji Skrzyneckiego zerwał się szalony tentent i łomot żelaza i runął wprost na czoło piechoty długim, poskręcanym węzłem.

— Kawalerya! Ułani! Strzelcy! Nasi! — rozległy się bezładne okrzyki.

Skrzynecki porwał za lunetę. Śród kłębow dymu, przed linią nadchodzącego czworoboku rosyjskiego, szarżował oddział kawalerii dwójkami, pędził w lewo, na oślep, ku pagórkowi...

Wódz naczelnny jeszcze nie ogarnął, co by to mógł być za szwadron, co za pułk, ani co jego naczelnik zamierzał, czy atakował, czy uchodził, czy był to poryw męstwa nad męstwami, czy hasło do popłochu — gdy naraz oddział ten stanął jak wryty, zaszamotał się, chrapnął trąbkami i zygnał dwunastu paszczami dział w sam środek czworoboku.

(Dalszy ciąg nastąpi).